

DZIENNIK

Barński.

LWÓW 16 LIPCA 1841.

Nr. 14.

ROK DRUGI.

Wychodzi 1 i 16 każdego miesiąca, do każdego numeru dołączone są dwie ryciny. Prenumerata wynosi we Lwowie półrocznie 5 ztr. 15 kr., rocznie 10 ztr.; bez rycin półrocznie 2 ztr. 30 kr., rocznie 5 ztr. Dla tych którzy poczta ten dziennik odbierają dolicza się do powyższych cen za przesyłkę pocztową od jednego egzemplarza półrocznie 48 kr., rocznie 1 ztr. 36 kr. srebr. Prenumerować można w kantorze Tomasza Kulczyckiego pod liczbą 301 w mieście, tudzież w krajowych i zagranicznych urzędach pocztowych.

M O D Y.

Stroje damskie. Upał lipcowy który nie tylko u nas mocniej się dał czuć w tym roku zgromadził wesołe świat modny około zdrojowisk Spa, Emsu, Karlsbadu, Badenu, tak samo jak nasza publiczność zwabia od dawna Lubień, Iwonicz, Truskawiec i Burkut. W tej ściśle kąpielowej porze wszystko się krzepi i odżywia, a wśród tego rodzaju zatrudnień w największym ruchu są stroje. Rzucim tu kilka wzorów całkowitego ubrania.

Ranny neglizz. Suknia z szkockiego batystu z czworogrannym kołnierzem i gładkimi rękawami. Takież szal lub chustka z gładkiego batystu. Kapelusze stómkowy ze szkocką wstążką, lub axamitką zieloną.

Strój wizytowy. Suknia baryszowa w drobne wzory; stanik i rękawy z bufami. Szal czarny kitajkowy. Kapelusz z ciemnej krepy z korunkową lub blondynową półzastoną, koloru odpowiadającego sukni. Buciki lub też trzewiki ze skórki angielskiej. Chustka *à la Hugo*. Mankietki i kołnierze z waleńskich korunek.

Strój od wyjścia. Suknia baryszowa; szal organynowy ozdobiony trzema rzędami bufek. Kapotka ze stómką ryżowej, z białymi pórami których tylko końce ufarbowane liliowo, oraz z liliowemi wstążkami.

Strój wieczorny. Suknia z tarlatany różowego koloru w słupy; rękawy *à la pagode*; mantyla *à la duchesse* z korunek podbitych różowo. Suto klejnotów. Wachlarzyk i równianka kwiatów. Chustka jak wyżej *à la Hugo*. Chustki te pojawiły się u Chaprona, od czasu wspomnianej przez

nas uroczystości: przyjęcia Wiktora Hugo do akademii, i noszą jego nazwisko.

Istotną nowością jest forma płaszczyków, w których kibić najwydatniej się pokazuje. Rękawy noszą różne stosownie do sukni i rodzaju ubrania. Falbany noszą wprawdzie, ale tylko przy sukniach lekkich, u sukni z ciężkiej materii zastępują je fręzlami.

Stroje męskie. Do nowości należy letni paletot o jednym rzędzie dużych guzików, z wąskimi rękawami i kieszonką na pierśiach i dwoma kieszeniami u połów.

Spodnie noszą najwięcej z materii w kratki, bez szręmiączek i z kamaszykami. Kamizelki z białego atlasu są bardzo w użyciu.

Wspomnienia

Semenowych powieści.

przez

Wincentego Pola.

II.

Cichy, chłodny, ponury był ranek gdyśmy się na polu ujrżeli, wyjechawszy z noclegu od pana Chłudy. Nisko zawisła nad stepem mgła jesienna, na wąsach, na burkach i grzywach końskich osiadła rosa kroplami, pod nogami ślizło, a jak błada czerwona plamka stało słońce bez promieni na niebie. Niemo też jechała drużyna, jaki taki przytulił się do siodła, i emitł lulkę w milczeniu, na smyczy skomląc ciągnęty się chart, głucho tętniła ziemia pod kopyty, koń tylko parsknął czasem raźnie.

— Słońce wstało późno i oblało się krwią, będzie wiatr, rzekł stary Semen, a na skrzydle ziewnął na cały głos kozak Zawerucha.

— Ej ty tam spis, prześlepisz kota i odśednisz konia, zawołał pan Adam, ot zaspiewajcie chyba, bo coś smutno jechać. Dubyna zaczynaj ty dumę o Kosińskim, a do mnie obracając się rzekł: wiesz, nauczyłem ich Zaleskiego pionkę i Dubyna śpiewa ją kapitalnie.

Ja znałem już w ówczes tę dziś tyle sławną piosnkę, którą za pierwszą zorzę odrodzonej ukraińskiej poezji uważałyby można; jednak z muzyką słyszałem ją poraz pierwszy; ale należy przyznać, iż dopiero na stepie, wśród drużyny kozackiej, chartów i koni, wśród widoku tych mogił ukraińskich i mgły jesiennej; można dopiero pojąć całą prawdę tej powtórnej poezji ludu, która z piękności życia w piękność sztuki przeszła.

Daleko rozlegał się śpiew tęsknej swobody i upływał stepem, zda się, tak szeroko, jak ta mgła co nad nami zawisała. Raźniejszym stepem puściły się konie i strzygły czujnie uszyna, jak gdyby i im pieśń przypadła do uczucia, a zpod konia Dybiny porwał się zajac; hajż-go-ha! krzyknęli bliżsi, i pieśń się przerwała. — Gracz był to kot: wypadł na drogę i poszedł bez obrotu aż do bliskiego futoru, tam dopiero przy zamkniętym kołowrocie doszedł go Togracz, dał mu obrot, a kiedyśmy dopadli do harapa, leżał już kot rozciągnięty, a charty dyszały nad nim. Psom dano odprawę, a po staremu wypito na trupie, i choć mgła była jak przed tem, i pusto jak przed tem do koła, weselszy wydał się nam świat; dojeżdżaniem krew rozgrzała się w żyłach, a gorzałka dodała ducha, zajaca wtroczone, a pieśń przerwana, na nowo zaczęto.

Tak zeszedł nam dzień cały, niepilnując drogi jechaliśmy ciągle na południe i wschód ku wielkiemu stepowi Bohu; na mogiły kierował całą drużyną Semen i przy każdej powtórzył nam jakieś podanie z czasów hetmańszczyzny. Pieśni Padury i wystrzały z harapników brzmiały na przemian. W południe popaśliśmy konie przy kudakowym futorze, gdzie nas stary ugościł pasiecznik, jeszcze z czasów humańszczyzny dawny druh Semen. Dziękując mu za gośpodę darowaliśmy mu flaszkę wódki z puzderka, bo jak mówił nie jadł nie gotowanego od lat dwudziestu, od śmierci swej żony, z czego pan Adam się śmiał, gdy

Zawerucha z pustego ula garczek gotowanego grochu wyciągnawszy rzekł do pasiecznika: Wy nekuszajecie warenoho, a ja wid dwajciat lit syroho, najże toj warenyj horoch meni na zdorowle bude.

Nim się słońce ku zachodowi skłoniło, miał już każdy z nas kota albo lisa w troku. Niedarmo pan Adam uprosił z rana na wsia danem szczęścia u panienek, napędził im raka, narobiły krzyku, ale pokazało się, że sprawiedliwy jest przesąd myśliwski, i że sprawiedliwa cnotka była panien, jak wierzą myśliwi. Zwierzyny było dosyć, ale charty zziąły się bardzo i spędziliśmy konie. Pan Adam kazał na smycz pozabierać charty, i nieszczuć więcej, choćbyś go nawet i koniem nastąpił; bo też i trudno było już dojeżdżać; zpołudnia zerwał się wiatr silny i wzmagał się coraz bardziej. Stanęliśmy nad głębokim jarem. Hen poniżej wercchowiny, rzekł Semen, jest staw i młyn, a dalej przysiótek; otoż jak baćku zechcecie to i przenocujęm, bo kazałem tam na noc stanąć kuchni, a jużby i powieczerać warto, kiedy się nie obiaдало.

— Dobrze rzekł pan Adam, i poczęliśmy się spuszczać do jam, wtem zrobił się jakiś hałas na górze. Hajż-że! krzyknął Zawerucha, wyjeżdżamy z jaru, patrzymy po polu, a Zawerucha spuścił charty i leci jak szalony, zdało się że szczuł, ale przed nim niewiadać żeby co pomykało.

— Tfu, splunął Semen, skazywsia Zawerucha! a jomu szczo takoho? a potem mruknał sam do siebie, jak gdyby zrozumiał o co to chodzi, i dodał: To jomu tumańna tak pustyno; w istocie śmieszna to była historia. Zawerucha leciał brzegiem jaru jak szalony, niewiedzieć zaczęł i zniknął w wądołach z oczu, niewiadać, nie słysząc, więc pojechaliśmy jarem, a Dubynę wystano, żeby dotarł i dowiedział się co się z nim stało?

Jar, kędyśmy jechali, rozszerzał się coraz bardziej i przechodził w duży staw ozeretem obrosły. Słysząc było gwar dzikiego ptactwa, stadami zrywały się kaczki i ciągnęły na żyr ponad nami; na łotokach szumiła woda, młyn turkotał w dali, a poniżej grobli, rozłożyła się kuchnia nasza przy wielkim ognisku; przy młynie pomieszczono nasze konie, a koło ogniska niedaleko, rozbito nam namiot.

Mrok począł już padać, kiedy się Dubyna do nas spuszczał wodomyją, za nim szedł Zawerucha i prowadził kulejącą szkapę.

— Coto ty szczułeś takiego? zapytał pan Adam, a kozacy w śmiech. A gdzie burka? rzekł Semen; a Zawerucha splunął, a kłął duszę i ciało, że szczuł lisa równym stepem, aż oto nagle wpadł w bałkę, burkę zerwał mu wiatr, lis szczuł, koń się pod nim związał, a on upadł w błoto.

— A charty gdzie? zapytał pan Adam.

— A niema, rozstap się ziemia, rzekł Dubyna.

— Hej! hej! mówił Semen i kiwał głową, a baczysz, a potrzeba tobi było toho? jakej łys? totoj szczo tebe w bołoto wkinuw, koniaci nobu skrutyw, a burku i chorty zabraw?

Błotem zachlastany i zturbowany stał Zawerucha i zadumał się.

— No naprawić nogę koniowi, rzekł pan Adam, jeżeliś nie porozbijał chartów to się przywłoka, a kiedyś zgubił burkę, to grzej się tym lisem, coś go uszczuł.

Przy ognisku pod namiotem zjedliśmy myśliwską wieczerzę, kozacy przynieśli siana z stogu i legliśmy pokotem. a Semen przechodził polowanie dnia całego, każde poszczucie, każdy obrot, i zadumał się w końcu nad przygodą Zaweruchy.

— Boto nie ten wiatr bałku, co to po wsi ulice zamiata; widział ja jakto nim kręciło, to taki wiatr, jak to, kiedy człowieka powietrzem niesie.

Co? człowieka powietrzem? zapytałem zdziwiony.

Pan Adam począł się śmiać na całe gardło, a Semen powiada: z jakiegoto wypanie kraju, żeście o tem nieczuli?

Śmiech pana Adama i szyderskie zapytanie Semeną obraziło mię, śmieście się ze mnie, a ja się z was będę; coto tu za barbaria na tej Ukrainie?

Oj nie śmieście się panowie, złeto o tem nawet i pod wieczór mówić, ale ja na własne oczy widziałem jak człowieka niesło. Kiedym jeszcze był przy dworze xiężny Zaslawskiej, jechaliśmy raz do Berdyczowa na odpust z panną Miecznikówną coto na wielkim była respekie u xięztwa, ba i u wszystkich ludzi, boto miała może ze sto lat, malenkie jak kurczatko, a miłe jak gołąbek, bez kości i złości, nabożna i święta gdyby zakonnica, niemiała nigdy męża, i ośiarowała się do najświętszej panny, otoż do śmierci nikt jej niewidział tylko w białej sukni; cisnęli się też do niej ludzie, jak do święconej wody: gdzie kogo gościć łamie, gdzie komu febrę odpisać, gdzie kogo opatrzyć, zapomódz, to wszystko do niej!

Jak to wielki post bywało, to ona jedzie do klasztoru panien miłosiernych, służy chorym cały post, a całe życie mięsa nie jadła, nawet na wielkden święty, gdzie ewangelie po kopcach zakopywać, chmary i grady odwracać, to wszystko ona! Miała też do tego taką modlitwę, i dzwóneczek od papy, co jak w niego zadzwoni, to żeby jakie chmary, to się rozejdą. Otoż ja jechałem z nią do Berdyczowa, szły trzy powozy, i było nas szczęściu kozaków, aż tu zerwał się okrutny wiatr. Xiężna nakazywała sama, żeby pilnować panny Miecznikówny, jakby oka w głowie, otoż ja prosiłem, żeby pozwoliła zajechać, i zajechaliśmy do karczmy, co sama jedna stała na polu i zaparliśmy wrota, bo wiatr był taki, że aż dachem nosiło. Na podsieniu zostali z końmi kozacy, bo nie było tyła miejsca w stajni, ja byłem na służbie koło panny Miecznikówny, aż tu wali kozak pięściami we wrota a krzyczy: Hej gwałt! dywit sia lude, chrestinyna popowitrom nese! Panna Miecznikówna poczęła się modlić i zażegnawać chmarę, a ja wypadam z karczmy, a tu wiatr taki, że sam się chwycił słupa, patrzę ja w górę: wyraźnie człowiek, ale taki mały jak weselyk.

— Coto weselyk? zapytałem.

— To wy baczu pane niczoho neznajete, rzekł Semen kiwnawszy ręką. A wiecie coto żurawle, ale ich niegodzi się nazywać żurawłami, bo kiedy kto widzi, że już z wiosną lecą i powie, ot lecą żurawle, to oni mu odpowiadają, bodaj ty ciły rik żurywsia; otoż trza im mówić: zdrowii weselyki, zdrowi łetite; to wtedy oni odpowiadają: bodaj ty ciły rik weselywsia. Otoż nie większy był jak weselyk; a na podsieniu między nami najszedł się także dziad stary, co szedł na odpust do Berdyczowa i stanął od wiatru pod karczmą, jak on zobaczył, przeżegnał się i krzyknął na nas: Anu mōłodei! skocźcie do krynicy po studzienną wodę, bodaj w ładownicy niechaj który przyniesie, trzeba duszę ratować, a sam dobył noża z za pasa, pomruczał coś przed sobą i począł wolniusieńko, wolniusienko pchać nóż storcem w ziemię. Co na włos zapchnie, to coś pomruczy, a w górę wciąż patrzy. Kozak z wodą powrócił, a my z tego dziwa oczu niespuścili, i już widać doskonale, że człowiek, bo nim spuszczało spuszczało, co raz niżej, i wiatrem już nie tak szumiąło. Dziad nóż pomału zapchał aż po trzonek, latawiec już dotknął się ziemi nogami, chciał stanąć ale nim cisnęło na zie-

mie, a nas wszystkich cośmy patrzali, postawiło prawcem. Patrzymy coto będzie, on leży jak umarły, mieni się jak upiór, tylko oczy otwarte i gęba, a śmiertelna rosa wystąpiła na niego. Dziad zakropił go wodą i dał mu się napić. Łatawiec ocknął się niby ze snu, i począł głęboko oddychać, piersiami jego nosiło jak miechem. Wody! wody dajcie! zaczął jeszcze wołać, i pił spragniony jak gdyby w gorączce. Dziad go się spytał, zkądby był, nazwał jakąś wieś cudownie, ale nikt z nas o takiej wsi nie słyszał; a widzisz już to miejsce gdzie ci trzeba, zapytał dziad. — Oj ni, jęknął człowiek, a dziad powiada, kiedyś tak zrobił nieboże, to niema ci rady. Puszczajcie mię puszczajcie! wołał człowiek, a dziad począł zwolna nóż wyjmować z ziemi, a wiatr się znów zerwał, zakręciło młynem, i zasy-pało nam oczy, nim potaszczyło, a nas się taki bałamut wziął głowy, jak gdyby człowiek trzy dni był przepił na prazniku. Dopiero jak mnie się zapytała panna Miecznikówna: a czyby już nie czas jechać Seme-nie, bo wiatr ustał, opamiętałem się znów. Otoż jato panie widział na swe własne oczy, i tego człowieka i tego dziadabym poznał, i mógłbym to zaprzysiądz, choćby dzisiaj w cerkwi.

Szukał ja tego dziada na odpuszcie w Berdyczowie, ale go niebyło. Dziwił ja się, co to za nóż, co to za sposób taki? ale ludzie powiadają, że każdy nóż, byle poświęcony, to dobry do tego...

* * *

Po drodze wstąpiliśmy do jednej wsi pana Adama, w której nas tameczny podstarości Gwoździkowski przyjmował, żwawato była sztuczka, miał dobrego konia i smycz tu-reckich chartów, które pan Adam chciał na-być, otoż na próbę kazał mu jechać z nami. Gdy Semen skończył powieść, potakiwali mu z zadziwieniem koczacy a pan Gwoździkowski rzekł do nas, i ja też od mojej matki słyszałem podobną historię, i gdybym wie-dział że panów dobrodziejów nie znudzę, tobym ją opowiedział. Spać się jeszcze nie-chciało, więc zapaliliśmy lulki na nowo u-gnieżdżiwszy się na sianie w oczekiwanu historii, z tysiąc nocy i jednej.

— Działo się to na Wołyniu, pewien kawa-ler pokochał się w pannie majętnej, a i pan-na niebyła mu krzywą, ale rodzice panny chcieli ją wydać za kogo innego, i poczę-

stowano kawalera szarą polewką. Dzień ślubu panny był jużznaczony, we dwor-ze robiono przygotowania do wesela, i od-dawano pannie wyprawnej już za rege-strem wyprawę. Panna młoda płakała, a kawaler jeździł jak szalony po sąsiednich wioskach, żeby jako pannę ujrzyć, żeby jako list jej przesłać, żeby się jeszcze widzieć, rozmówić, albo pożegnać, lecz panny strzeżono i ani przystąpić do niej było można, ani się pokazać postaćcom we dworze. W o-statniej desperacji i aprensii kawaler udał się do czarnoxięznika, którego mieszkanie jeszcze dziś na górze za Podberezcami po-kazują, cisnął mu trzos złota i prosił o radę. Rób co chcesz abym ją zobaczył, abym się z nią rozmówił, a ja znajdę sposób, że ją potem uwiozę i że będzie moją. Czarnoxięznik oddał mu złotą, weź sobie nazad tę mamonę, widzę żeś nieszczęśliwy, tobym ci rad pomógł, ale tu rada nie łatwa i nie bardzo bezpieczna. Kawaler nalega i za-klinał na niebo i piekło. Słuchaj, rzekł mu czarnoxięznik, czy masz jej włosy i choćby strzępek jeden z jej odzieży? Kawaler miał wstążkę i włosy, ale czarnoxięznik ociągał się i mówił, iżby ich mógł sprowadzić sam na sam, ale nie ręczy czy panna tego ży-ciem nieprzepłaci. — Ha! niech i tak będzie! jeśli ona zginie, to i ja sobie śmierć zadam, bo i tak niemożemy żyć bez siebie. Jedź-że do domu, rzekł czarnoxięznik do kawa-lera, jutro miesiąc na nowiu, wypraw lu-dzie z domu, każ wygasieć ognie, każ po-otwierać kołowroty we wsi, a wszystkie drzwi we dworze, siedź na progu i czekaj mnie, a słuchaj jak sowa na dachu zawoła. Kawaler odjechał i sprawił wszystko jako czarnoxięznik kazał. Miesiąc zeszedł róż-kami do góry. Sowa zawołała na dachu, kawaler siedział na progu zadumany i pa-trzał ku bramie, aż tu z lekka uderza go ktoś po ramieniu z tyłu; powstał, patrzy, a tu przed nim stoi czarnoxięznik, skrzy-neczke miał pod pachą, skinął na kawalera, i kazał mu iść za sobą. Weszli do ostatnie-go pokoju z kądem już wyjścia nie było, czar-noxięznik zamknął drzwi, kazał dywanami pozabijać okna, napisać kredą dwa koła na podłodze, w każdym postawił po krześle, wyjął potym ze skrzyneczki siedem świec woskowych, a każda była innego koloru, i postawił je na stole, kawalerowi kazał sięść na krześle z prawej strony, niekazał mu się obzierać ani ruszać z miejsca choćby się nie-wiem co działo, bo inaczej zakłęcie moc

straciła i zginąć może, potem dobył się wargamin oprawną na siedm pieczęci zamkniętą, poszedł ku oknu, odchylił zasłonę, a na szczeblach od okna siedziała sowa i świeciła mu oczyma; gdy przeczytał jedną kartę zapaliła się jedna świeca, spuścił zasłonę i przystąpił do stołu, przeczytał drugą, zapaliła się druga i tak aż do siedmiu, a z tych świec nad stołem pokazała się tęcza, na dworze ozwał się wrzask i pisk i szum straszny.

(c. d. n.)

Tęsknota.

Śnieżku, dla czego wisisz u chmur,
W drobnej gwiazdeczce nie zwiedzisz ziemi?
Ja i przyroda pieśni tęsknemi
Zawodzim w smutny, jesienny chór.

Przyroda płacze, przeczuwa skon,
Po mgłach tży rzewne zasyła tobie,
Błaga o całun, o trumnę w grobie,
Darmo, bo pomróż mgły zmienia w szron.

I ja tęsknotę olbrzymią mam:
Ojczyście siolo, góry i rzeki
Grają po duszy, gdy ja daleki
Od nich, rodziny, żyję tu sam.

Śnieżku zleć do nas, ukoj nasz żal,
Po mojej twarzy spłyniesz z łzą oka
Na pierś tęskniącą, to nie opoka,
Rzuci wyznanie do twoich fal.

A gdy na wodach w wiosniany czas
Moje rodzinne powita z strony,
Szepniesz im, łzami memi natchniony:
On się nie zmienił, on kocha was.

J. D.

Nieco o Francii.

(Ciąg dalszy.)

Łatwo się domyśleć, z jaką skwapliwością gawędy wieczorne chwytaly liczne szczegóły wypadku którego nader krótką treść tu podałam. Obcym nawet trudno, zda mi się, połączyć wyobrażenie tak nikczemnej przewrotności, z postacią kobiety młodej i powabnej, a lubo za młodu pozabawionej matki, w gronie jednak rodziny i dobrego towarzystwa wychowanej. Jakże dopiero musieli być przerażeni ci, co ją osobiście znali! co widząc w niej osobę pełną wdzięku, mniemali pełno zalet w niej upatrywać!

Większa część odmawiała wiary, każdy powtarzał „czekajmy“ a te niedziarstwa

mnogie rodząc spory jeszcze bardziej zasilały rozmowę.

Do licznych zmian jakie od końca zeszłego stulecia dają się w charakterze francuzkim spostrzegać, moralisci mieszczą także mniejszą wielomowstwa potrzebę.

Istotnie Francuzi w ogólności spoważnieli, zesmutnieli; i jakby jakiś albioński wiatr na nich wionął, od czasu jak więcej zaczęli rachować, mniej szwargoczą, od czasu jak więcej piwa zapijają (a piwo wielką ma teraz wziętość) mniej się śmieją, mniej doweipkują.

Mimoto Francuzi, w porównaniu z innymi narodami, jeszcze najwięcej mówić lubią i szczególne do tego usposobienie, łatwość wrodzoną mają. Język ich tak wygładzony, iż zdaje się z ust płynąć, samą swą giętkością dowodzi, przez jak częste próby we wszelkich rodzajach przechodził. Oby o naszym kiedykolwiek powiedzieć to można!

Niebawem sądzono w Tulle powtórna sprawę pani Laffarge obwinioną tą razą o otrucie męża. Już ją wyżej poznaliśmy cokolwiek. Dla dopełnienia jej biograficznego rysu, dodam tu, iż lubo z rodziny znanej, z towarzystwa wyższego, zamęcie jej ułożone zostało za pośrednictwem faktora, tak zwanego agentem małżeństw (*agent matrimonial*).

Są bowiem w Paryżu bióra, gdzie każdy mający powołanie do stanu małżeńskiego, się zapisuje; a agent, czyli naczelnik tego szanownego zakładu za opłatą kilku franków, dostarcza męża lub żony... i tak się układają te święte związki na których oparte szczęście tego, częstokroć tamtego życia! Bo z dobrze lub źle dobranego stała, rodzą się zalety lub wady, enoty, czasem zbrodnie.

U nas ledwoby uwierzyć chciano temu dziwnemu rodzajowi frymarstwa, a przynajmniej nigdyby nieprzepuszczano, żeby ludzie zamożni, bogato zpokrewnieni, których się codziennie w pięknych ekwipażach widuje, i na pysznych srebrach wspaniale objady dają, żeby tacy panowie bez jakichś nadzwyczajnych, lub tajnych powodów, w podobnych miejscach szukali mężów dla córek lub siostrzenic.

Jednak, tak dla pani Laffarge postąpiono. Poszła ona za męża, z domu swej ciotki: pani baronowej Garrat, za pana Laffarge, człowieka przybyłego z dalekiej prowincji. Dwoma tygodniami pierwej ani ona, ani

nikt w domu o nim nie słyszał. W siedemnastym dniu cała umowa zawarta; ośmnastego po pierwszym widzeniu się, Laffarge wywioził żonę do siebie na wieś.

Tu się dopiero zaczyna dramat, w którym niewiadomo od czego bardziej czyzy odwracać? Czy od zarzutu, lub zbrodni w najohydniejszych warunkach (podług zaskarżenia) dokonanej, czyli od wszystkich szkaradnych przewrotności, jakie tam w każdym się napotykają kroku? Niewiadomo ku której stronie nieść współczucie, bo te wszędzie ważne w swej nieskazitelną czystości, boleśnie wraca do serca, a w sumieniu nieład rodzi.

Pan Laffarge, trzydziestoletni człowiek, z nader miernego, można mówić podrzędne go rodu, podobnegoż wykształcenia, był właścicielem dość znacznej kuźni. Po krótkim pożyciu straciwszy żonę, stara się o drugą, a jeszcze bardziej stara się o posag, dla poratowania mocno zawiąanych interesów. Uda się do Paryża; tam jakiś agent małżeński, stręczy mu, jak mówiłam, pannę Cappelle, z posagiem 40,000 franków.

Laffarge, niemając nadziei dostania więcej, na tem przestaje. Mówi swej narzeczonej o dostatkach i pałacu swoim, a ile możności ślub przypiesza. Panna Cappelle bynajmniej tym pośpiechem się nie zraża. Słowem, jednogłośnie, ośmnastego dnia po poznaniu się, państwo młodzi opuszczają Paryż; największa czułość zdaje się między nimi panować.

Na pół drogi, w Orleanie, pani Laffarge, zaczyna okazywać pewną niechęć dla męża; pieśczęty jego odpycha. Jednak następnego wieczora przybywszy do Glandier, miejsca gdzie ma resztę dni przepędzić, czule powitana przez matkę i siostrę męża razem tam mieszkające, równie czule na ich odpowiada wyrazy. Przy wieczery gospodyni zabiera miejsce, i z uprzejmością częstuje gości.

Po kolacji oddala się do swego pokoju, drzwi przed mężem zamyka, i następujący list mu posyła.

Buffon powiedział: „le style c'est l'homme“ — ja podzielałam to zdanie; i dlatego co dosłownie przyłączam początek listu tego. Dla posiadających język francuzki, da on wyobrażenie o wysokiem umysłowem wykształceniu naszej heroiny, wytłumaczy poniekąd ten urok jaki rzuciła prawie na każdego co się ku niej zbliżył, co słuchał jej rozmowy. Zazrawszy zaś głębiej, bę-

dzie on mógł służyć za pewnik charakteru i zasad.

„Charles! je viens vous demander pardon à genoux! je vous ai indignement trompé! je ne vous aime pas et j'en aime un autre! Mon Dieu j'ai tant souffert! Laissez moi mourir, vous que j'estime de tout mon coeur. Dites moi: „meure et je te pardonnerai!“ et je n'existerai plus demain. Ma tête se brise; viendrez vous à mon aide?”

Ecoutez moi, par pitié écoutez moi! Il s'appelle Charles aussi; il est beau, il est noble; il a été élevé près de moi; nous nous sommes aimés depuis que nous pouvons nous aimer. — Il y a un an une autre femme m'enleva son coeur; je crus que j'allais en mourir; par dépit je voulus me marier. Hélas! je vous vis: j'ignorais les mystères du mariage. J'avais tréssailli de bonheur en serrant ta main; malheureuse! je crus qu'un baiser seul sur le front te serait dû, que vous seriez comme un père...

Comprenex vous ce que j'ai du souffrir dans les trois jours? Comprenex vous que si vous ne me sauvez pas, il faut que je meure?

Tenez, je vais vous avouer tout: — Je vous estime de toute mon âme, je vous vénère. Mais les habitudes, l'éducation, ont mis entre nous une barrière immense. A la place de ces doux mots d'amour, de ces épenchemens du coeur et de l'esprit, rien que les sens qui parlent en vous qui se revoltent en moi.“

Dalej pisze, że ów ukochany Karol załuje swych błędów, że go w Orleanie na balkonie spostrzegła, a teraz wie że on się kryje w sąsiednim miasteczku. Prosi o pomoc do ucieczenia od niego; chce się do Syrii udać, tam będzie z pracy rąk żyła, bo majątek mężowi zostawi. — O kilka wierszy niżej, już nie do Syrii ucieka, tylko chce się otruć, arsenik ma przygotowany; płaszc swój wrzuci w którą ze skalistych przepaści jakich tam pełno, a tak nikt o jej prawdziwym zgonie się nie dowie. — W końcu czyni wyznanie że od chwili co się dowiedziała że mu będzie (to jest Laffarzowi) czem innem jak siostrą, co jej ciotki objawiły, co to jest bydlę żoną, przysięgła umrzeć; zażyła trucizny, ale zbyt mało, i oddała ją w Orleanie; miała przy sobie nabity pistolet, przy skroni go

trzymała, ale ztchórzyła. Wreszcie temi słowy półtarkuszy list ten kończy:

Oh saluez moi! Soyez le bon ange de la pauvre orpheline, ou bien tuez la, ou dites lui de se tuer.

Ktoż w tych kilku przytoczonych okresach, nie zachwycił się pięknoscią stylu? tego stylu który tak wiernie oddaje w wyrazach pełnych uczucia, walkę serca, nieład myśli, rozpacz słabej niewiasty!... przełkniona widokiem przepaści nad którą się raptownie ujrzała, miotana gwałtowną namietnością, chce się ona utrzymać na obowiązku ścieżce, wyciąga ręce błagając pomocy, lub śmierci...

Po przeczytaniu tego pisma, smutnych jego wyznań, niepodobna odmówić litości dla biednej, która w pokorze duszy sama zdaje się potępiać błąd swój, a z przepętnego załam serca, tak pięknie rzuca na papier swą boleść, tak malowniczo klęka przed obrażonym, i czoło pod jego mściwy miecz uchyla.

Lecz im żywsze było współczucie jakie się w ówczas dla pani Laffarge ozwało, tym się dalej cofa, tym przykrzejszego doznaje wrażenia czytelnik, gdy się dowiaduje, że w tym całym liście ani jednego słowa prawdy niema. Że się z żadnym Karolem ani z nikim podobnym nie chowała; a jeżeli w liczbie tych co jej serce lub umysł nieraz zająć potrafili, znajdował się jaki Karol, żadna przynajmniej wzajemna miłość ją z nim niełączyła. Tak postrzeżenie go w Orleanie, wiadomość o ukrywaniu się w sąsiednim miasteczku, jak naiwna niewiadomość swych obowiązków względem pana Laffarge, trucizna, żal, rozpacz, wszystko zmyślane, urojone, zimprowizowane na przódce.

W obronie, tłumaczono to przykrem wrażeniem jakiego doznała pani Laffarge, na widok spustoszonego prawie zamku, z dawnego klasztoru w połowie przerobionego na dom mieszkalny, a który tak mało odpowiedział świetnemu obrazowi jaki w Paryżu o nim marzyła.

Po kilku domowych scenach zrodzonych z owego listu, widzimy raptownie panią Laffarge zapamiętałą rozkochaną w mężu. Już i ten gmach pusty ją niestraszy; już i warunek spędzenia życia z matką męża, prostą sobie wiejską gospodynią, z siostrą jego niewiele wyższego wychowania, ją niełęką; wszystko jej dobre i miłe; kuźnia, kowale, ogród, wszystko ją zajmuje i bawi;

a gdy chwilową słabością czuje się zdjęta, nie tracąc jednej chwili pisze testament na korzyść męża. Ten zaś wdzięcznością tknięty, lubo przy najlepszym zdrowiu, naśladuje żonę i wszystko jej także zapisuje.

Niebawnie potem, a we cztery miesiące po ślubie, pan Laffarge zmuszony dla interesów do Paryża się udać.

Żona, w największym żalu pogrążona, stodzi swój smutek listami tak czułymi, tak ognistymi, iż daleko za sobą zostawiają całą sławioną Heloizę korespondencję. W końcu prosi matki męża o upieczenie jakichś ciastek; tych połowę, razem ze swym portretem na przódce malowanym i jeszcze niedokończonym, posyła mężowi, polecając mu żeby 18 grudnia o północy, patrząc na jej obraz jadł te ciastka. Ona tegoż dnia, o tejsze godzinie, będzie drugą połowę ich także jadła. Będzieto, pisze, komunią miłości, zakończoną pocałowaniem w kwadracik sympatyczny.

Albowiem każdy list zakochanych tych małżonków, kończył się małym kwadracikiem (□), sympatycznym był on przewzany, a przed zamknięciem listu składano w środku pocałowanie.

Laffarge jak we wszystkim, tak i w tem stosuje się wiernie do woli żony. Lecz po tej miłosnej komunii, dostaje niestrawności, kolek, womitów.

Żona wielką na wsi okazuje niespokojność; mówi o jakichś przeczuciach ją ściągających; lęka się listu z czarną pieczętką; wybiega naprzeciw każdemu co by go z pocztą mógł przynieść; w końcu odbiera istotnie wiadomość o słabości męża, oraz doniesienie o niebawnym jego powrocie.

Dnia piątego stycznia, ku wieczorowi, przyjeżdża Laffarge do domu, chory, do łóżka się kładzie. Żona najczulsze koło niego ma staranie, sama lekarstwa mu podaje, sama napoje przyrządza. Choroba co raz się wzmaga; Laffarge w kilka dni umiera.

W całym domu o truciznie mówią; lekarze oznaki jej w chorobie postrzegli. W pozostałych napojach, lekarstwach, we flaneli nawet którą choremu ciału nacierano, wszędzie pełno arszeniku.

Pani Laffarge w pierwszym wyż przytoczonym liście oświadczyła jak widzieliśmy że jest nim zaopatrzona. Później po trzy kroć po arszenik do rozmaitych aptek posyłała dla wytopienia szczurów, tak przed

postaniem ciastek do Paryża, jak nawet już po powrocie męża, kiedy choroba jego mogła odwrócić uwagę od myszy. Przywieziono jej w ten czas 60 gran tej trucizny, w proszku. Ten lubo jak się później okazało nieużyty przeciw myszom, przez rozmaite koleje przechodząc, ginie tak, iż mimo wszelkich poszukiwań sądowych, nie dowiedziano się w co się obrócił.

Matka zaś męża, siostry i niektórzy domownicy twierdzą, że nieraz widziano panią Laffarge sypiącą jakiś biały proszek do lekarstw męża; inne jeszcze, w prawdzie mniej ważne, przytaczają okoliczności; dość że całe posądzenie, cały zarzut pada na młodą wdowę.

Pani Laffarge przyaresztowana; a nim sądowe dowody się uzbierają, nim świadków nagromadzą, toczy się jej proces o kradzież brylantów pani Leotaud, w poprzednim rozdziale wzmiankowany.

Coż dziwnego że na tę wiadomość cały Paryż się wzruszył? Paryż terazniejszy tyle zamięłowany w kryminalnych sprawach, ile dawny lubił balety, baletniczki, sybaryskie kolacje, awantury miłośne.

Coż dziwnego że cała młodzież poleciła przypatrywać się chciwie, jak będzie przed kryminalnemi kratkami wyglądać ta eleganka z ich salonów wyszła, ta kobieta słów doborowych, stylu uroczego, marzeń poetycznych, uczuć wybujałych, ukladności czarującej?

Ujrzeni ją też: Błada, słaba, na doktorze wsparta, ledwo o własnej sile jeden krok postąpić może.

Obronca i lekarz proszą o wygodniejsze dla niej siedzenie niż w zwykłej obżałowanych ławce. Jako dla chorej przystają na to. Przynoszą duże poręczowe krzesło, w którym żadne poruszenie giętkiej kibici niestracone.

Ta jej postać na pół omdłona, rysy malujące boleść duszy, szaty żałobne, wszystko największy ku niej interes wzbudza. Lecz zaskarzenie adwokata generalnego niebawie go niszczy. Wylicza on w niem, niepoehlebne dla pani Laffarge sceny pierwszego dai, jej wszakże dobrowolnego zamęczenia; odczytuje pierwszy list, to wyznanie przywiązania dla innego, wstępu dla męża, poczem raptowne przejście w najgwałtowniejszą dla niego miłość podejrzaniem niemi. Dalej przedstawia całą rodzinę

Laffargów, jako wzór cnót patriarchalnych; jej spokojne, czułe domowe życie jakby rodzaj raju w który raptownie wpadł duch jakiś szatański, i w oka mgnienia porożnął, porużnował wszystko, a tam gdzie pierwszej sama miłość i cnota kwitły, zaniósł zniszczenie i śmierć. (d. n.)

Teatr.

Nie nasza w tem wina, że przez czas dość długi nieobawiliśmy publiczności zdania naszego o przedstawianych sztukach; niebity tego warte; a oświadczyliśmy się naprzód iż niebędziemy zwracać uwagi na lichotę, chociażby się komu i podobiała; zostawiamy to tym którzy się godnymi poczuwają takiego zawodu. Mito nam zatem iż możemy znowu pomówić o przedstawionej 30 czerwca komedii w 5ciu aktach tłumaczonej ze Skribego pod nazwiskiem: Szklanka wody, czyli przyczyny i skutki. Jestto jedyna sztuka która może dać publiczności naszej sprawiedliwe wyobrażenie o komedii wyższego rzędu. Niech krzyczą co chcą przeciw wystawianiu sztuk obcych na scenie naszej, widzimy w tych krytykach osobisty interes, gdyż publiczność zasmakowała w takich wzorach, krzywić się będzie na podawaną jej żołądź. Wszakże byli i tacy którzy na filozofię niemiecką krzyczeli jak na zgubę polskiego rozumu. Już przeszli i śmiech po nich został. Niezawodnie tak będzie i z tymi rozprawiaczami przeciw sztukom obcym. Poznajem się także i my na ciężkiej winie obcych pisarzów: oto umieją oni lepiej pisać od tutejszych; jestto wprawdzie jeszcze naganą, ale umieją oni pisać i dobrze. Komedja Skribego o której mówimy jest jedną z najlepszych. Autor usiłował w niej wystawić, jak nieraz drobności są przyczyną wielkich, na los całego narodu wpływających wypadków. Samó zestawienie przyczyn nikczemnych obok ich skutków olbrzymich jest pomysłem komycznym. Sztuka jego zatem jest zabawną, zajmującą i śmieszną nie przez szczególne sceny, nie przez wesołość lub niedorzeczność niektórych osób, ale w całej osnowie, w samem poczęciu. Umnicze wypracowanie, stopniowe wprowadzanie w coraz ciekawsze i zawiąksze położenia, rozwijanie nareszcie naturalne, konieczne nawet, a jak najmniej spodziewane czynią to dzieło doskonałem. Ale niebędę się rozwodził nad przyznanemi powszechnie ogólnemi zdolnościami tego najpierwszego komediopisarza; w komedii Szklanka wody osiągnął on zamiaru swojego szczególniej przez to, iż obrał przedmiot historyczny. Osoby i ważniejsze zdarzenia są nam powiększej części z dziełw znajome, i nieośmieszają ich Skribe aby się nadały do komedii, owszem odmawiały tylko jak najprawdziwiej, a przecież dowiadujemy się, że szklanka wody była przyczyną upadku potężnego księcia Mallbruk, osłabienia stronnictwa Wighów najpotężniejszego ówczas, mianowanie nowego ministerium z członków opozycji, nieutrzymania się bilu, i zawarcia pokoju Anglii z Francją, tak stanowczo wpływającego wtedy na całą przyszłość tych państw, na całą spokojność Europy. To dzieło powinno by nas przekonać że do komedii nie potrzeba karykatur, że najlepszym dramatem, tragedią czy komedją jest historia.

L. D. B.